

Edyp Tyran. Grecko-polska zgaduj-zgadula

Współczesny człowiek komunikuje się z innymi znacznie szybciej niż greccy bogowie. Wojtek Klemm – reżyser wprost z wielkiego Berlina, odkrył w swej toruńskiej inscenizacji współczesnego ducha antycznego dramatu „Król Edyp”, szanując istotną treść utworu Sofoklesa. Jednakże odsłaniał ją stopniowo spod nawarstwień przeszłości w tak enigmatycznym tempie wielkowiejskim oraz szastał aktualnymi odniesieniami artystycznymi i ideowymi, iż wprowadził widownię w wielowymiarową konsternację. Jednych widzów swą formą teatralną poruszył, innych zraził, ale większość zaś chyba zafrasował, wystawiając nas na zaliczenie testu z wielokrotnie powtarzanymi pytaniami: dlaczego tak i dla kogo jest ten spektakl?

Mimo tych skłaniających do refleksji pytań „Edypa Tyrana” w Teatrze im. Wilama Horzycy ogląda się od pierwszych scen z dużym zainteresowaniem, a to, między innymi, za przyczyną imponującej scenografii autorstwa Michała Korchowca. Ogromne schody po obu stronach sceny prowadzą do komnaty pałacu króla Teb, z charakterystycznym oknem w kształcie litery „T”, w której niektórzy oburzeni dopatrują się krzyża. Efekt tej konstrukcji wzmacnia szereg poplątanych tuneli powietrznych „wydmuchujących” trzewia tego niesamowitego zamczyska, mieniącego się złotem i srebrem, schodzących do podziemi czy też biegnących we wszystkie możliwe strony (być może ludzkiego umysłu?). Już pierwsza kwestia wypowiediana przez jedną z córek Edypa – Antygonę (Joanna Rozkosz): „... to kraj, w którym rodzą się martwe dzieci, bo muszą...” zapowiada współczesną parabolę krytyczną państwa-zakładnika w sidłach rządów jednego szaleńca. Kraju, w którym „ludzie skaczą sobie do gardeł”, jak czytamy w opisie przedstawienia. Społeczeństwa, które próbuje się dopiero określić, odkryć rację i formę swego istnienia w tej sytuacji, i to określić się poza wzorem boskim, i poza wzorem ziemskim. Wydawałoby się, że nie sposób wymyślić formuły bardziej trafnej, w której mieściłyby się zarówno demonstracja utrzymania resztek demokracji przez jednych, jak i wola przywrócenia tradycyjnych rządów silnej ręki u drugiej połowy narodu.

Zrozumiałe, że XXI-wieczne adaptacje greckich tragedii wymagają przepisania utworu dzisiejszym charakterem pisma, wymagają oczyszczenia z przebrzmiałych aluzji i nieczytelnych komentarzy oraz zastąpienia ich aluzyjnością współczesną. Tymczasem w „Edypie. Tyranie”, aluzje i aluzyjki, drobniautkie patenciki satyryczne (zresztą niektóre wdzięczne, jeśli oceniać je w oderwaniu) odwołujące się do ponad dwuletnich, zakulisowych rządów prezesa jednej partii, poczynione wtrąceniami innych autorów w tekst Sofoklesa przez reżysera, Wojtka Klemmę, i dramaturga, Tomasza Cymermana, przesłoniły mocno i zatarty problem główny z tekstu starożytnego tragika. Autorzy adaptacji chwycili się mianowicie trendy-chwytu, tj.: polonizacji Sofoklesa prodemokratyczną próbą protestu. Chwył ten daje istotnie wielkie możliwości dla satyrycznych napomknięć, jak choćby w głośnym już „K” Strzępki i Demirskiego w poznańskim

Teatrze Polskim, o ile dozowane będą właśnie w formie ciętych napomknięć. U duetu Klemm/Cymerman jest ich po prostu za dużo, a ironia, pewna infantylizacja i mruganie okiem do widza prowadzą do niejasnych interpretacji tego post-modernistycznego teatru. Ma się wrażenie, że przebąkiwania o rządzy władzy i konflikcie tejże z ludem silnie zacierają główną udrękę Edypa, jaką jest dopuszczenie się ogromu nieszczęść wynikających z fatum, w które tak silnie wierzyli starożytni Grecy. Wyrocznie, bogów i wróżbitów Sofoklesa spowija tutaj gorączkowa biegania po schodach wszystkich bohaterów, jak na starej berlińskiej stacji metra Bahnhof ZOO.

I tak z pewnym zdziwieniem śledzi się skądinąd doskonałą (ale nie tak spektakularną jak w innych dotychczasowych przedstawieniach) rolę Bartosza Woźnego jako Edypa, kochającego i zarazem brutalnego ojca, który zamiast tkwienia w swych tarcjach moralnych, jakimi są wyrzuty sumienia i niemożność ucieczki przed swym przeznaczeniem, staje się rozdartym wewnątrz przez żądzę władzy tyranem. Jego żona, Jokasta (ciekawa kreacja Matyldy Podfilipskiej) to kobieta niedbająca o wyrocznie, która oddziela je wyraźnie od wpisanego w nasz los fatum; w szlafroku i z butelką w dłoni pozbawiona jest dostojności tebańskiej królowej. Jej brat, Kreon (świetna rola Tomasza Mycana będąca syntezą ulicznego trybuna i satyra) zanim przyniesie z Delf wieść o zbrodniarzu ukrywającym się w Tebach, krąży pod sceną w dość trywialny sposób niczym żołnierz wyklęty czy aktor z wrocławskiego Teatru Polskiego w podziemiu, wyśpiewując „Barkę” i „O mój rozmarynie”. Niezwykle trafnym pomysłem okazało się obsadzenie w roli wieszczki Tejrezjasza Jolanty Teski, której dystynkcja w pełni oddaje powagę kreowanej postaci i jako jedyna nie ulega „czarowi” tyrana. Dzieci Kreona reżyser umieszcza to w Chórze Teban, zatroskanym o swój los, lub też ślepo rozmodlonych na polecenie matki dewotki (?) królewiatek (Joanna Rozkosz, Julia Sobiesiak, Maciej Raniszewski i Łukasz Ignasiński).

Skazując się na takie rozdrobnienie stylu, Wojtek Klemm obdarza nas jeszcze Pośląncem z Koryntu (Maciej Raniszewski), wyrwanym (w uprząży) chyba z klubu sado-maso, ale... w pożyczonych z innego klubu (disco) błyskających butach. Ten niezbyt szczęśliwy pomysł kostiumograficzny (Julia Kornacka) idzie jednak w parze z lekkością, absolutną sprawnością ciała i precyzją sceniczną aktora. Pozostaje także w zgodności z przykuwającymi wzrok układami choreograficznymi Chóru/Dzieci (Anna Krysiak). Chór tańczy do fantastycznie transowej muzyki Michy Kaplana, ukazując w swej dreptaninie taniec żywych trupów, taniec cierpiących za winy króla mieszkańców miasta. Ich ruch ma pełnić funkcję teatralnego znaku i dookreślać jednoznacznie sytuację sceniczną, ale ma się wrażenie, że nie w pełni wydobywa sens fabuły.

Cóż, jak widać berliński reżyser Wojtek Klemm wyraźnie stawia na eklektyzm efektów scenicznych w zakresie ruchu, plastyki, aluzji, skrótów obrazowych i symboliki. To wskazuje na jego bujną wyobraźnię teatralną, posługiwanie się spięciami przeciwstawnych nastrojów czy

stylistyk. Czasem operuje znakami, których nie należy traktować dosłownie, to znów pokazuje widzom szal z napisem „Danke, Papa”... W takiej mnogości znaków istnieje jednak ryzyko, że powstanie z tego słabo zaangażowana papka (w matematyce istnieje przecież pojęcie „liczb urojonych”, które po podniesieniu do kwadratu dają liczbę ujemną), a przy tym wydaje się, że zabrakło w nich po prostu ludzkiej wrażliwości.

Aram Stern

06.05.2018